



MARIA LICHON

wszyscy
byliśmy
za młodzi

moondrive
KRAKÓW 2024

Wszystko stało się bardzo szybko.

Chyba nikt z nich tak do końca tego nie rozumiał. W końcu byli tylko dziećmi – letnimi wieczorami chcieli siedzieć do późna na zewnątrz, jak najwięcej czasu poświęcać na spotkania z przyjaciółmi, a jak najmniej na naukę, nie myśleć o przyszłości. Chcieli wierzyć w to, że to ich życzenia, spośród tak wielu pomyślanych, zostaną wysłuchane i spełnione. A już następnego dnia byli ubrani w licealne mundurki, mając przed sobą ostatni rok nauki i nakaz wybrania drogi, którą chcą dalej iść. Konieczność podjęcia decyzji nadeszła nagle, razem z całym obszernym bagażem – szczęściem i podnieceniem przed końcem, dla wielu pierwszym, którego mieli doświadczyć, i jednocześnie pierwszym, którego mieli nie zrozumieć.

I nagle stali się dorośli – choć nie całkiem. Nie byli już dziećmi, ale nie byli także w pełni dojrzałymi. Jeszcze chwilę temu proste wybory teraz stanowiły wyzwanie – gdy okazało się, że prowadzą do konsekwencji i odpowiedzialności, przestały być tak ekscytujące i łatwe. Zaczynali rozumieć, że na tym polega dorastanie – na podejmowaniu decyzji, których nikt nie chce podejmować, na decydowaniu o tym, co dla nas

cenne, na ciągłej nadziei, że tym razem nie popełnimy błędu, że tym razem się uda, że w końcu kiedyś musi się udać.

A co, jeżeli wcale nie chcesz dorastać? Co, jeżeli chcesz zatrzymać czas – trwać w beztrosce, zakochać się i bawić, nie wybierając pomiędzy dobrem a złem?

Jednak czas się nie zatrzymuje. Lata nie zwalniają. Miesiące się nie wydłużają. Dni nie oplatają cię i nie pozwalają przy sobie trwać.

I wtedy już musisz wiedzieć. Mimo że nie rozumiesz.

CZĘŚĆ I

PRZED

01 | CHLOE FIELDS

Chloe Fields właśnie wylała na siebie piwo.

Wiele może się wydarzyć w ciągu jednego wieczora. Tym bardziej, gdy jest się na imprezie pełnej pijanych nastolatków. Możesz, na przykład, zaprzyjaźnić się z nielubianą dotychczas osobą. Możesz zatruć się jedzeniem lub alkoholem i następny dzień spędzić w męczarniach. Możesz także poznać nowych ludzi, udając przy nich, że jesteś kimś innym niż w rzeczywistości, i świetnie się przy tym bawić. Ale możesz także wylać na siebie piwo na oczach chłopaka, który podoba ci się od szóstej klasy.

Gdy tylko Chloe poczuła, jak piwo oblepia jej koszulkę, poniosła głowę i spojrzała mu w twarz. I znowu – Josh Grinson mógł zachować się różnie. Mógł się zaśmiać, z niej lub z nią, mógł się do niej odezwać i spytać, czy wszystko w porządku, mógł krzyknąć, aby następnym razem uważała. On jednak nie zrobił żadnej z tych rzeczy – zerknął na nią, jakby była niewidzialna, i z dziewczyną uczeploną jego boku ominął ją i zostawił wśród tańczących ludzi.

Chloe Fields dokładnie pamiętała dzień, w którym pierwszy raz zobaczyła Josha Grinsona – mieli wtedy po trzynaście

lat. Siedział na niskim ogrodzeniu otaczającym park, a obok niego siedziała jakaś dziewczynka w niebieskiej sukience. Pokazywał jej coś na niebie – ptaka lub samolot, a może chmurę o zabawnym kształcie, Chloe tego nie wiedziała. Nie przeszło jej wtedy przez myśl, aby spojrzeć w górę, była zbyt zapałtrzona w tego chłopca – tak delikatnego, jakby bez konturów, namalowanego samymi ciepłymi kolorami. W wieku trzynastu lat chłopcy jeszcze nie zaprzęтали jej głowy, ale od tamtego momentu miało się to zmienić – stała tam, uwięziona w tej samej od kilku minut sekundzie, patrząc i nie mogąc oderwać od niego wzroku. To było pięć lat temu.

I nawet po upływie tych pięciu lat Josh wciąż potrafił zatrzymać dla niej czas. Chloe Fields odnajdywała go w tłumie osób i obserwowała jego ruchy, próbując go zrozumieć, stworzyć w swojej głowie od nowa. Potrafiła spóźnić się na lekcję lub zupełnie ją opuścić, okłamać rodziców, założyć na siebie coś, czego z własnej woli by nie założyła, rozmawiać z ludźmi, których nie lubiła – tylko po to, aby Josh Grinson zwrócił na nią uwagę. Sama nigdy nie miała okazji dłużej z nim porozmawiać. Czasami zdarzało się, że się z nią witał – wtedy, gdy witał się także z jej najlepszą przyjaciółką, Alison Selliman. Alison wielokrotnie próbowała mu ją przedstawić – najczęściej na imprezach takich jak ta, na której Chloe obecnie była, gdy Josh był pijany, a jego oczy błyszczały od alkoholu. Może robiła to specjalnie, może nie. Chloe nigdy nie wiedziała, co Alison robi specjalnie, a co nie.

Mokry materiał koszulki lepił się do jej ciała, gdy stała w kolejce do toalety. Starła się powstrzymać łzy upokorzenia, ale było to trudne. Cały czas odtwarzała w myślach zdarzenie sprzed chwili – puste spojrzenie, którym obdarzył ją Josh, mogło być równie dobrze skierowane w ścianę za nią. Miała wrażenie, że w czasie tych kilku sekund nawet jej nie zauważył, mimo że przecież na nią *patrzył*. Zasmucona, wyjęła z torebki telefon i zadzwoniła do Alison, ignorując

powiadomienia o nieodebranych połączeniach od rodziców. Rozłączyła się jednak szybko, już po pierwszym sygnale, nagle czując, że wcale nie ma ochoty opowiadać jej o tym, co przed chwilą się stało. Nie była gotowa na odkrycie przed nią swojego niepowodzenia – jeszcze parę godzin wcześniej, gdy Alison namawiała przyjaciółkę, aby przyszła na tę imprezę, mimo że jej samej na niej nie będzie, w Chloe rozkwitła cicha nadzieja, że może zdobędzie się na podejście do Josha i rozmowę. Nie była w stanie przyznać się do porażki, nie tyle przed Alison, co przed samą sobą.

Chloe nie była pewna, jak długo stała w kolejce, ale w końcu zdecydowała się na powrót do domu. Na schodach prowadzących na parter roilo się od ludzi, jakby było to najlepsze miejsce do rozmów. Imprezę zorganizował Cole Walker, chłopak Judie Arnett, a Chloe zastanawiała się, czy sam zaprosił tak dużo osób, czy większość z nich trafiła tutaj jako dodatek do zaproszonych znajomych.

Na zewnątrz było ciemno, prawie czarno. W powietrzu pachniało papierosami lub to sama Chloe nimi pachniała – miała wrażenie, że ich zapach w nią wsiąkł i że już nigdy się go nie pozbędzie. Marzyła o położeniu się do łóżka i zapadnięciu w sen, dzięki któremu przez parę godzin będzie mogła udawać, że dzisiejszy wieczór się nie wydarzył. W myślach dziękowała losowi, że mieszka tylko uliczkę dalej. Planowała po cichu wejść do swojego pokoju, nikogo przy tym nie budząc (o ile było to możliwe), i zmienić tę śmierdzącą, przemoczoną koszulkę. Najlepiej od razu wyrzucić ją do kosza, aby nie przypominała jej o tym pechowym momencie z jej pechowego życia i o minie Josha Grinsona. Chyba już wolałaby, aby zaśmiał jej się w twarz.

Było tak, odkąd pamiętała. Ona widziała go wszędzie – w każdym chłopaku, w każdym cieniu rzucanym na ziemię, w każdym nieznajomym, którego mijala. A on nawet nie potrafił zapamiętać jej imienia. Dlaczego? Miała dość ciężaru na

piersi, który czuła, gdy on znowu miał u boku inną dziewczynę (a należało przyznać, że zdarzało mu się to częściej, niż powinno). Alison milion razy powtarzała jej, widząc, jak Chloe do niego wzdycha, że to nie chłopak dla niej, ale ona jakby w ogóle jej nie słyszała (a przynajmniej tak się zachowywała). Alison trudno było uwierzyć, że pierwsze zauroczenie może być aż tak silne – przecież Chloe Fields nawet nie знаła Josha Grinsona. Mimo że tak bardzo tego chciała.

Szła przed siebie w ciszy, a otuchy dodawało jej światło latarni rozdzierające gdzieniegdzie ciemność. Lubiała Lambertville. Było spokojne i znane, a dzięki temu bezpieczne. Mieszkały tu rodziny znające się od wielu lat – kupujące sobie nawzajem prezenty z okazji narodzin dziecka, spotykające się na przyjacielskie obiady lub wieczorne grille. To właśnie było życie, które ceniła Chloe Fields – życie pełne monotonii, nieprzerwalnej niczym rutyny. Życie wypełnione uśmiechami i uprzejmościami, które pozwalało jej dorastać w przeświadczeniu, że ludzie mogą być dla siebie dobrzy. Jednak im starsza Chloe się stawała, tym lepiej zaczynała rozumieć, że o człowieku wcale nie świadczy to, jak zachowuje się w stosunku do znajomych mu osób, wręcz przeciwnie – jego miarą stawał się stosunek do obcości.

Czasami Chloe marzyła o wydostaniu się z tego miejsca. Wraz z Alison snuły plany na przyszłość, plany nieobejmujące Lambertville ani jego okolic – miały nadzieję wyjechać daleko, dokądkolwiek, byle tam, gdzie ludzie nie znają swoich sekretów, bo jest zbyt dużo ludzi i zbyt dużo sekretów. Gdzieś, gdzie mogłyby zacząć od nowa, może nawet od nowa się urodzić. Chloe myślała o tym tylko w chwilach słabości – w rzeczywistości wizja zmian budziła w niej lęk. Uwielbiała to miasteczko, będące stałym elementem jej życia, bezpiecznym punktem odniesienia, domem. Nie wyobrażała sobie żyć w żadnym innym miejscu.

Drzwi wejściowe okazały się otwarte. Chloe wiedziała, że rodzice będą na nią źli – obiecała, że wróci do domu wcześniej i że będzie pod telefonem w razie jakichkolwiek opóźnień. Ona jednak nie odpisała na ani jedną ich wiadomość, a teraz, wchodząc do środka, zaczęła stresować się myślą o konfrontacji. Włączyła światło na korytarzu i zamknęła za sobą drzwi na klucz. Stała przez moment bez ruchu, nasłuchując dźwięków mogących świadczyć o tym, że ktoś na nią czeka – jednak odpowiadała jej jedynie cisza. Poszła do kuchni, aby napić się wody, a gdy włączyła światło, zobaczyła Deana siedzącego przy stole. Na jego widok wydała z siebie cichy pisk.

– Boże, Dean! Przestraszyłeś mnie! – krzyknęła, przykładając dłonie do klatki piersiowej. Czuła, jak mokra koszulka znowu przylepia się do jej skóry. – Dlaczego siedzisz tu po ciemku?

– Och, wybac mi – powiedział ironicznie, po czym wstał i się rozciągnął. Do tylnej kieszeni dresów włożył telefon, którego pewnie używał jeszcze przed chwilą. – Super, że postanowiłaś przyjść. Serio. Bardzo się cieszę. Wiesz, która jest godzina? Miałas być po pierwszej.

– Gdzie rodzice? – spytała, ignorując jego wcześniejsze pytanie. Wyjęła z szafki szklankę i nalała do niej wody.

– Śpią. Mama poprosiła, żebyś na ciebie zaczekał.

– Nie trzeba było – powiedziała, czując nagłą potrzebę, aby odrzucić od siebie ten niepotrzebny gest troski, do którego w dodatku został zmuszony.

Nie była pewna, dlaczego użyła tak ostrego tonu głosu. Dean jednak, nawet jeżeli poczuł się urażony, nie dał tego po sobie poznać. Od przyjazdu zachowywał się w ten sam nużący zubożniały sposób. Na początku cieszyła się, że odwiedził ich razem ze swoją dziewczyną, Charlotte, zanim zaczęli nowy rok akademicki, ale przez tę parę dni dał jej odczuć, jak bardzo się zmienił. Był tak stonowany i dojrzały – miała

wrażenie, że tą swoją nową dorosłością jedynie się przed nią popisywał. Teraz uniósł brwi na widok jej mokrej koszulki, jakby dopiero ją zauważył. Chloe była przygotowana na jakiś głupi żart na ten temat, po którym poczułaby się jeszcze gorzej, ale on jedynie wskazał głową na schody.

– Będiesz chora – powiedział. – Idę spać. Zamknij drzwi wyjściowe.

Wyszedł, zostawiając ją samą. Wsluchiwała się w dźwięk jego kroków, dopóki ten nie ucichł. Poczula się przez niego dziwnie opuszczona – zupełnie jak wtedy, gdy trzy lata wcześniej wyjechał na studia, tak po prostu zostawiając ją samą z rodzicami w tym wielkim domu, w którym wcześniej mieszkali w piątkę – oni, rodzice i cisza. Odkąd się wyprowadził, ta ostatnia tylko się rozrosła, spęczniała, zajęła jego miejsce. Teraz Chloe chciała poprosić go, aby wziął ją ze sobą, zaprowadził do jej pokoju, posiedział obok niej, dopóki nie zaśnie – tak jak kiedyś, gdy kłócił się do późna z rodzicami, a ona nie mogła przez to spać.

Chloe nagle posmutniała.

Nawet nie zapaliła lampki, gdy weszła do własnej sypialni. Zdjęła mokrą koszulkę i przewiesiła ją przez krzesło stojące przy biurku. Przebrała się w piżamę i już chwilę później leżała pod kołdrą, otulając się nią po same uszy. Drżała z zimna (a także ze smutku i niepokoju przed jutrem). Zamknęła oczy.

Chloe Fields w duchu obiecała sobie, że już nigdy więcej nie dotknie piwa. (Bo na obietnicę niemarzenia o dotknięciu Joshua Grinsona było dla niej stanowczo zbyt wcześnie.)

02 | CHASE BRAFORD

Chase Braford właściwie nie pamiętał, kiedy zrobił to po raz pierwszy.

Może po pogrzebie swojej mamy, którą kochał najmocniej ze wszystkich osób na świecie. Może parę dni po nim lub parę dni przed nim. Może tego dnia, w którym nauczycielka od literatury poprosiła ich, aby przeczytali przed całą klasą swoje eseje na temat roli figury matki w kulturze, zadane z okazji ich zbliżającego się święta, a on, wywołany jako pierwszy, musiał przyznać się, że niczego nie napisał, bo miał już nigdy nie świętować tego dnia. Może zaczęło się to po tym, jak ojciec uderzył go w twarz, przez co Chase obiecał sobie, że już nigdy więcej nie nazwie go tatą. A może wtedy, gdy uświadomił sobie, że na to uderzenie zasłużył.

Nie znalazł dokładnej daty ani szczególnej przyczyny, która spowodowała akurat to – bo przyczyn było dużo i Chase był w stanie wymienić je bez oddychania, nawet jeśli musiałby nie oddychać całe godziny. Pamiętał za to okoliczności – pamiętał, jak wszedł do łazienki i jak nie mógł złapać oddechu, pamiętał, jak wyrzucił z szafek wszystko, co się w nich znajdowało, ułożył na ziemi krzywą wieżę z kosmetyków

i ręczników. I pamiętał żyletki w jednej dłoni i zapalki w drugiej, pamiętał ciężar podejmowanej decyzji (żyletki czy zapalki?), ale nie pamiętał za to samej czynności (wybrał żyletki), samego bólu i swojej reakcji.

Pamiętał za to, jak później leżał sztywno w łóżku z piekącymi ramieniem i sercem, i pamiętał, o czym wtedy myślał – o tym, że to właściwie nie był pierwszy raz. Wspominał, jak w dniu śmierci mamy wylał na swoją dłoń gorącą herbatę, którą chwilę wcześniej przyniósł tata. Siedzieli wtedy na szpitalnym korytarzu, czekając, aż ktoś do nich wyjdzie i powie im, czy operacja przebiegła pomyślnie. Chase był tak zdziwiony brakiem bólu, że nawet nie wydał z siebie żadnego dźwięku – zareagowała jedynie pielęgniarka, akurat przechodząca obok. Czasami zastanawiał się, czy ta kobieta mogła pomóc jego mamie wtedy, gdy pomagała jemu – świadomość, że mógłby obwinić samego siebie za jej śmierć była tak kojąca i stała, że pozwalał sobie o tym marzyć.

Może zaczęło się to wtedy – może wiele lat później. Nie pamiętał. I prawdopodobnie miał sobie tego już nie przypomnieć.

Teraz, gdy miał siedemnaście, prawie osiemnaście lat i za równy tydzień miał zacząć swój ostatni rok nauki w liceum, z dumą mógł stwierdzić, że wypracował nowego Chase’a Brforda – tego dla ludzi i dla ojca, prawdziwego dla innych, ale sztucznego dla samego siebie. Czasami myślał o tym, czy mama takiego by go chciała i dochodził do druzgocącego wniosku, że raczej nie.

Choć nie mógł tego wiedzieć.

Czuł, jakby nigdy nie było tego pierwszego razu – były drugie, piąte, sześćdziesiąte, setne i dalsze, ale nigdy nie było pierwszego. Zresztą czasami czuł, jakby nigdy po raz pierwszy się nie urodził, jakby nigdy po raz pierwszy nie napił się kawy, jakby nigdy po raz pierwszy nie pocałował dziewczyny. Pamiętał tylko dwa pierwsze razy – wtedy, gdy ojciec po raz

pierwszy podniósł na niego rękę oraz wtedy, gdy po raz pierwszy stracił swoją mamę.

Było to także pierwsze prawdziwie ostateczne i definiujące wydarzenie jego życia – już nigdy więcej nie miał stracić swojej mamy, bo już nigdy więcej nie miał żadnej mieć.

*

– Nie idź jeszcze – poprosiła go, owijając się szczelniej kocem.

– Muszę.

– Pięć minut.

– Przepraszam.

Założył bluzę. Długie rękawy miło otuliły jego ręce. W pokoju jedynym źródłem światła była poświata księżycy, która kładła się pasmami na zmiętą kołdrę, oraz przyćmiona nocna lampka, na którą wcześniej Emily zarzuciła swoją ulubioną apaszkę. Chase czuł się zmęczony, tak zmęczony, że najchętniej położyłby się obok niej na łóżku i po prostu usnął. Wiedział, że nie powinien, i wiedział też, że nie może. Ich dzisiejsze zbliżenie zakończyło się bardzo spokojnie i bardzo niespodziewanie – jego jeden unik przed jej dotykiem sprawił, że odsunęli się od siebie na resztę wieczora. Żałował, że od razu wtedy nie wyszedł – powstrzymał go wyraz jej twarzy, duże i przestraszone oczy, które kazały mu zostać. Leżeli potem wspólnie na łóżku, wpatrując się beznamiętnie w zbyt jasny ekran laptopa. Teraz, mimo zmęczenia, zebrał się w sobie i odnalazł swój telefon, wcześniej rzucony bezmyślnie na materac. Miał odejść bez pożegnania, jednak cofnął się i dzięki tej namiastce światła zdołał odnaleźć jej twarz i pocałować ją w policzek. Po tak chłodnym wieczorze Emily była zdziwiona jego nagłą czułością.

– Dzięki za wszystko – wydusił, ale zabrzmiało to zbyt arogancko nawet jak na niego, przez co poczuł wyrzuty

sumienia. – Jesteś świetną dziewczyną. Zaslugujesz na coś więcej.

– Powiedz to jeszcze raz.

Chwilę milczał, nie rozumiejąc tej prośby. Spędzili ze sobą tyle czasu, że to dziwne pożegnanie wydawało mu się niewłaściwe. Już wcześniej rozstawali się, niepewni siebie nawzajem, natomiast pewni tego, że zobaczą się następnego dnia. Tym razem miało być inaczej i Chase czuł, że zrobił coś nie tak. Jednocześnie wiedział, że nie ma już szansy tego naprawić. Coś pomiędzy nimi skończyło się tego wieczoru – coś, co było bardzo niejasne i nieważne, ale co pozwalało im na przetrwanie kolejnych dni. Był tego świadomy, ale nie czuł smutku.

W końcu przytaknął.

– Naprawdę zaslugujesz na coś więcej.

Zaczęła podnosić się, aby odprowadzić go do drzwi, ale Chase położył dłoń na jej nodze. Nie chciał dłużej przeciągać tego spotkania, zaczynał odnosić wrażenie, że niezręczność pożegnania pozbawia je całego uroku.

– Nie trzeba. Zostawię klucz tam, gdzie zwykle – powiedział. – Trzymaj się. Napisz, jak dojedziesz jutro na miejsce.

Nie wiedział, dlaczego to powiedział, i od razu tego pożałował. Emily patrzyła na niego chwilę, a to jej milczenie wydało mu się jego własną przegraną. W końcu wyłączyła lampkę nocną, a on zasłonił okno roletami – dopiero w tej ciemności mógł wyjść, jakby nigdy się tam nie pojawił, odprowadzony przez ciszę.

Zamknął za sobą drzwi frontowe na klucz i schował go w doniczce kwiatka wiszącego na ganku. Pamiętał, jaki poczuł się wyjątkowy, gdy zdradziła mu tę tajemnicę. Była od niego starsza, ale w chwilach, gdy oczekiwała jego aprobaty, zamieniała się w małe dziecko. Zawsze go to wzruszało – jej wrażliwość, którą widywał tak rzadko. Może gdyby pokazywała mu ją częściej, faktycznie by się w niej zakochał.

Wyjął paczkę papierosów, zapalniczkę i telefon. Sprawdził godzinę – były dwie minuty po jedenastej wieczorem. Zapalił i zaciągnął się, a wydmuchując siwy dym, szukał w kontaktach numeru swojego najlepszego przyjaciela, Simona Atwoda, do którego od razu zadzwonił. Było chłodno. Żałował, że nie założył jakiejś kurtki, czegokolwiek ciepłego, choć nigdy nie miał głowy do ubrań, przewidywania zjawisk pogodowych, a także martwienia się o swoje zdrowie.

– Halo?

– Hej. Słuchaj, stoję pod domem Emily i zamarzam. Mogłabyś po mnie przyjechać? – spytał, obserwując jarzącą się końcówkę papierosa. Wyciągnął dłoń przed siebie i przez chwilę obserwował, jak żar pochłania cienką bibułkę.

– Pod *czyim* domem? Co ty tam w ogóle robisz? Chase, jest środek nocy.

– Pod domem Emily. Przyjedziesz, czy mam iść na piechotę? Jestem pijany.

Minęła chwila. Chase słyszał ciężki oddech Simona w słuchawce i po paru sekundach wreszcie coś zaszeleściło.

– Nie znoszę cię. Dobra, jadę.

– Dzięki.

Simon się rozłączył. Chase usiadł na schodach prowadzących na ganek i kolejny raz zaciągnął się papierosem. Schował telefon do kieszeni, oparł się na łokciach i spojrzał do góry. Niebo tej nocy było bezchmurne, aż ciężko było uwierzyć, że chłopak mógł trząść się z zimna. W końcu był koniec sierpnia – Chase jednak wiedział, że inaczej odbiera temperaturę. Już od małego narzekał na chłód i nosił bluzy, gdy inni chodzili w krótkim rękawku.

Zgaślił papierosa o beton i rzucił w bok, na trawnik. Cały czas myślał o Emily leżącej na górze i czuł tak wielkie wyrzuty sumienia, że marzył tylko o tym, aby wreszcie Simon przyjechał i go stąd zabrał.

Emily nie była jego dziewczyną. W gruncie rzeczy sam Chase nie wiedział, kim była dla niego Emily – może miłą koleżanką, którą zawsze mógł pocałować, gdy było mu źle lub kimś, do kogo zawsze mógł się zwrócić. Widział, że była nim zauroczona – pisała do niego pierwsza, zawsze odbierała, gdy dzwonił, i nigdy nie pozwala mu odejść, jeżeli wiedziała, że w domu czekał na niego ojciec. A on, po półrocznej znajomości, zostawił ją właściwie bez słowa wyjaśnienia – i nawet nie było mu żal porzucić tego, co ich dotychczas łączyło. Emily była dla niego taka miła, miłsza niż inni ludzie, których notorycznie sobą zawodził. I dlatego cieszył się, że wyjeżdża na studia i będzie mogła się od niego uwolnić. Trwało to zbyt długo i znaczyło dla niej zbyt wiele, a dla niego zbyt mało.

Chase obserwował, jak samochód wyłania się zza zakrętu, aby po chwili zatrzymać się wzdłuż chodnika. Z okna kierowcy wychyliła się głowa.

– Tak podejrzewałem, że mogło chodzić ci o tę Emily – powiedział Simon, uśmiechając się. – Chodź.

Chase podniósł się i już parę sekund później siedział obok swojego przyjaciela w środku ciepłego auta. Z radia cicho płynęła muzyka, której Simon zawsze słuchał do nauki. Dopiero gdy ruszyli, Chase zwrócił uwagę na jego ubrania – miał na sobie tylko białą koszulkę i bokserki.

– To jak tam, stary? Czy z Emily było miło?

– Nie było nic z Emily.

– Poważnie?

– Poważnie – odpowiedział i wyciągnął papierosa. Gdy już chciał go podpałać, Simon strzelił go w dłoń, tak, że szlug wypadł przez otwarte okno na jezdnię. – Kurwa, Simon. Co jest?

– Nie palisz w tym samochodzie. Zaśpiewać ci to? Nie palisz w tym samochodzie.

– Jezus, dobra – odpowiedział Chase. Zmęczenie spowodowało, że zabrzmiał na zirytowanego i złego.

Simon odezwał się do niego dopiero po dłuższej chwili ciszy:

– Wcale nie jesteś pijany.

Nacisnął guzik, a okno po stronie Chase’a się zamknęło. Chłopak wdzięcznie oparł głowę o szybę i prawie się uśmiechnął.

– Tak myślisz?

– Tak. Zawsze próbujesz mnie wtedy przekonać do palenia w samochodzie.

Chase’a często dziwiło, jak wiele drobiazgów o nim Simon pamięta. Teraz spojrzal na niego, skupionego na drodze, z dłońmi ułożonymi poprawnie na kierownicy i poczuł nagłą wdzięczność – za jego oddanie i przyjaźń, której ostatnio nie doceniał, bo zdążył się do niej przyzwyczaić.

– Masz rację – przyznał Chase. – Chciałem po prostu, żebyś po mnie przyjechał.

– To miło z twojej strony – powiedział Simon, brzmiąc na rozbawionego. – Idziemy spać. Jest mi zimno.

– Mogłeś się ubrać.

– Mogłeś do mnie nie dzwonić. A teraz się zamknij.

Chase cicho się roześmiał. Przednie światła samochodu kładły się plamami na drodze. Przypomniiał sobie o Emily i o tym, jak źle ją potraktował. Zamknął oczy.

03 | SIMON ATWOOD

Simon Atwood od dziesięciu minut wpatrywał się w Judie Arnett.

Starał się robić to dyskretnie, aby przypadkiem nie wychyła, że ktoś na nią patrzy, i aby go na tym nie przyłapała. Wyglądała dzisiaj pięknie, pięknie jak zwykle. Rozpuściła włosy, czego nie robiła zbyt często, bo najbardziej lubiła chodzić w warkoczach i kokach. Spływały po jej ramionach i plecach, ciemne w sztucznym świetle stołówki. Gdyby tylko wyszła na słońce, zaczęłyby mienić się na rudo. Akurat zaśmiała się, gdy Simon ponownie spojrzał na nią znad podręcznika od fizyki, i ledwie zdążył powstrzymać się, zanim sam to zrobił – zawsze uśmiechał się, gdy widział, że i ona się uśmiecha.

Nienawidził w sobie tej słabości, ale w swoim uczuciu do Judie nienawidził także paru innych drobiazgów. Nienawidził tego, że za każdym razem, gdy widział, że jest smutna, jedyne, o czym myślał, to jak może poprawić jej humor. Nienawidził potrzeby dzielenia się z nią swoim życiem oraz zazdrości, która dręczyła go, gdy ona wołała dzielić się swoim życiem ze swoim chłopakiem. A tego nienawidził

w szczególności – faktu, że są z Judie tylko (i aż!) przyjaciółmi i że miało się to już nie zmieniać.

– Przestań na nią patrzeć – usłyszał nagle. Oderwał wzrok od Judie i spojrzał na swojego najlepszego przyjaciela, Chase’a Braforda, który siedział na krześle obok.

– Nie patrzę na nią.

– Jasne. Gdybyś napisał sobie na czole, że jesteś w niej zakochany, wyszłoby na to samo. A mógłbyś przynajmniej serio pouczyć się do fizyki, zamiast tylko udawać, że to robisz.

Simon z poczuciem winy spojrzał na podręcznik w swoich dłoniach, po czym zamknął go i odłożył na stolik.

– Aż tak to widać?

– Jeszcze się pytasz? Pierwszą rzeczą jaką robisz, gdy wchodzisz do jakiegoś pomieszczenia, jest sprawdzenie, czy jest w nim też Judie – powiedział Chase sarkastycznym tonem i wziął łyka wody. – O, patrz jak pięknie razem wyglądają z Cole’em.

Właśnie – tego Simon też nienawidził.

– Chase, błagam cię, zamknij się – odparł zniecierpliwiony. Podniósł się z krzesła i zabrał z ziemi plecak, a ze stolika książkę. – Muszę zapalić. Idziemy na Doły?

– Czekalem na to – odpowiedział mu z uśmiechem Chase. Ruszyli ramię w ramię w stronę wyjścia ze stołówki, po drodze mijając Josha Grinsona z Alison Selliman.

Za szkołą był las, a gdy weszło się w mało widoczną ścieżkę, wydeptaną przez pokolenia uczniów, i skręciło w prawo, potem w lewo i po przejściu parunastu metrów znowu w prawo, można było dojść do najbardziej cenionego miejsca w całym mieście. Wokół sporego paleniska stały drewniane ławki – zrobione z myślą o organizowanych ogniskach. Nic dziwnego, że było to ulubione miejsce spotkań licealnej młodzieży. W trakcie przerw uczniowie przychodzili tu zapalić – nikt nie wiedział, ilu wylanym łzom, smutnym słowom i wyznaniom miłości towarzyszyło to miejsce.

Simon i Chase usiedli na jednej z ławek i od razu zapalili papierosy. Pierwszy raz wzięli do ust po jednym, gdy mieli czternaście lat – Simon do tej pory pamiętał, jak wyjął dwa papierosy z torebki mamy. Razem z Chase’em podpalili je u niego w pokoju. Widzieli, jak robią to ich starsi koledzy, Simon widział, jak robi to jego mama, ale sam nie był do końca pewien, jak to powtórzyć – gdy w końcu udało im się zaciągnąć i gdy poważnie pokaszleli, postanowili, że to nie dla nich. Ta obietnica, złożona wtedy z tak wielkim przekonaniem, została przez nich złamana już parę miesięcy później. Za drugim razem znaleźli się właśnie tutaj, na Dołach. Chase miał paczkę papierosów, którą kupili mu starsi koledzy. Simon nadal nie był przekonany – nie spodobał mu się dym, drapanie w gardle, posmak w ustach, jednak widział, że Chase nie miał z tym wszystkim problemu. Dokładnie pamiętał wyraz twarzy swojego przyjaciela tamtego wieczora, błysk jego oczu, który, jak mu się wydawało, widział u niego po raz ostatni. Po pewnym czasie i on przyzwyczaił się do palenia, co zrobił dla Chase’a i przez Chase’a. Nie wiedział dlaczego, ale czuł wtedy, że musi mu w tym towarzyszyć, że to wspólne doświadczenie tylko mocniej ich ze sobą zwiąże. Może faktycznie tak było. Jeśli mieli się psuć, to Simon wołał, żeby robili to razem.

– Pamiętasz, jak mówiłem ci, że mój ojciec był chłopakiem Starej Reywood? – zaczął spokojnie Chase i wydmuchał dym.

– Chyba. Tak mi się wydaje. Co z nią?

Stara Reywood tak naprawdę nie była stara, a swój przydomek zawdzięczała niezbyt przyjemnemu usposobieniu i staroświeckiemu podejściu do młodzieży. Wszyscy nie znosili jej lekcji, a fakt, że uczyła historii, w niczym nie pomagał. Była nauczycielką także Simona i Chase’a.

– Ona cały czas na mnie patrzy – powiedział Chase i miał przy tym tak dziwny głos, że Simon spojrzał na niego kątem oka. Jego blond włosy były roztrzepane i tylko pogorszył

sprawę, gdy znowu przeczesał je palcami. – Jakbym był moim ojcem. Ona chyba wciąż się w nim buja, wiesz? Niedługo zaprosi mnie do swojego pokoju i...

– Zamknij się – przerwał mu Simon, żartobliwie klepiąc go w ramię. Próbował obrócić to w żart, ale w rzeczywistości nie mógł tego dłużej słuchać. – Kto by tam chciał zapraszać się do swojego pokoju? Nawet Stara Reywood ma gust.

Chase już otwierał usta, aby mu odpowiedzieć, ale przerwał im szelest. Ktoś szedł w ich kierunku i po chwili zza drzew wyłoniła się Judie Arnett z brązową torbą zawieszoną na prawym ramieniu. Simon od razu zauważył, że związała włosy.

– Simon! Wszędzie cię szukałam – zawołała, po czym usiadła obok niego i wytrąciła papierosa z jego palców tak szybko, że Simon nawet nie zorientował się, że miała zamiar to zrobić. – Faj, palenie szkodzi tobie i osobom w twoim otoczeniu. Cześć, Chase.

– Cześć, Judie.

– Ty też przestań palić – wycelowała w niego palcem, mrużąc oczy. Simon spojrzał na Chase'a, który wzruszył ramionami.

– Mnie palenie nie szkodzi. Jestem niezniszczalny. Ale dzięki.

– Nie wiem, jak mam z wami rozmawiać, poważnie – powiedziała, udając złą, ale w końcu się uśmiechnęła, a Simon ponownie siłą woli powstrzymał się, aby też tego nie zrobić.

– Co tu robisz? – spytał.

– No, szukałam cię. Mieliśmy zobaczyć się po lekcjach, pamiętasz? Chciałam ci powiedzieć, że po ostatniej godzinie muszę zostać chwilę dłużej, mam kilka pytań o zaliczenie. Ale zajmie mi to dosłownie dziesięć minut.

Była urocza, gdy się tak przejmowała. Simon westchnął w duchu. Jasne, że pamiętał o ich spotkaniu – miał jednak nadzieję, że to ona o nim zapomniała. Był rozdarty – z jednej

strony jedyne, czego chciał, to spędzenie tego popołudnia w jej towarzystwie, *tylko* w jej towarzystwie, bez żadnego Cole'a Walkera kręcącego się obok. Z drugiej strony był już zmęczony tym całym udawaniem. Ile musiał jeszcze wytrzymać?

– Rany, strasznie cię przepraszam – jęknął, mając nadzieję, że wygląda w miarę wiarygodnie. Przeczesał dłonią włosy. – Zupełnie o tym zapomniałem.

Spojrzał na nią niepewnie, a Judie przez chwilę też na niego patrzyła. Nie uwierzyła mu nawet przez sekundę, a Simon doskonale o tym wiedział.

– Naprawdę?

– Tak. – Dalej brnął w kłamstwo. – I nie mogę pójść. Obiecałem mamie, że zjemy razem kolację. Ma dzisiaj wolne. Przepraszam.

Dłoń, w której jeszcze chwilę temu trzymał papierosa, zaciśnął na ławce. Czuł dym papierosowy i spokój promieniujący od Chase'a siedzącego obok.

– Och. Jasne. Rozumiem – uśmiechnęła się. Wiedział, że wzmianka o jego mamie ją udobrucha. – W porządku. Innym razem, co?

– Tak. Jestem okropny.

– Przestań – roześmiała się. – Nic się przecież nie stało.

Założyła torbę na ramię i wstała. Przygniotła butem wciąż tłącego się papierosa.

– Mam matkę. Idziecie?

– Tak – powiedział Chase zachrypniętym głosem. – Zaraz dojdziemy. Muszę jeszcze pogadać o czymś z Simonem.

– Jasne – kiwnęła do nich głową, odwróciła się i weszła na ścieżkę.

Gdy zniknęła w lesie, Simon poczuł szarpnięcie za ramię. Spotkało go niedowierzające spojrzenie Chase'a.

– Co to miało być? – spytał. Wyrzucił niedopałek na ziemię.

– Nieważne. Muszę zapalić.

Koło szóstej Simon faktycznie usiadł do kolacji ze swoją mamą. Pracowała jako pielęgniarka i bardzo rzadko się widywali, a co dopiero mówić o wspólnym posiłku – Simon widział, jaka jest szczęśliwa, gdy wreszcie mogą usiąść przy jednym stole. Przez ten czas zapomniał nawet o Judie i o tym wszystkim, co było z nią związane – czuł się po prostu jak osiemnastoletni chłopak, który je z mamą kolację i który, niechętnie, opowiada, jak minął mu pierwszy dzień ostatniej klasy. Gdy wreszcie nadszedł moment ich rozstania, zasmuciło go to bardziej niż zwykle. Po jej wyjściu (bo wcale nie miała wolnego), w domu zrobiło się cicho i pusto, upiór samotności towarzyszył mu w kuchni, a potem w jego pokoju. Myślał o tym, aby zadzwonić do Chase’a – Chase nienawidził samotności, choć bardziej od samotności nienawidził spędzania czasu ze swoim ojcem – ale w końcu zrezygnował z tego pomysłu.

Simon myślał o Judie, próbując przygotować się na jutrzejsze zajęcia; myślał o Judie, wspominając mijający dzień; myślał także o Judie i o zawodzie w jej oczach, gdy skłamał, że zapomniał o ich umówionym spotkaniu. Nienawidził zawodzić Judie – bolało to tak, jakby zawiódł samego siebie.

04 | CHASE BRAFORD

Ojciec Chase'a wrócił do domu pijany.

Andrew Braford był policjantem. Jak na wzorcowego funkcjonariusza przystało, był wysoki, o odpowiednio umięśnionej sylwetce i czujnych oczach. Chase pamiętał, że gdy był mały, a jego mama jeszcze żyła, ojciec bardzo mu imponował. Uważał go wtedy za najlepszego człowieka pod słońcem i w przyszłości chciał być dokładnie taki sam jak on. Podziwiał jego opanowanie, wieczną gotowość do obrony, analityczny umysł – z zainteresowaniem przyglądał się wieczornym spotkaniom z kolegami z komisariatu, kiedy mężczyźni oglądali kolejny mecz piłki nożnej, obowiązkowo pijąc przy tym piwo. Andrew zawsze wiedział, jak się zachować, co powiedzieć, jak zareagować, jak podporządkować sobie ludzi. Dopiero gdy Chase podrosł, zrozumiał, że jego ojcem rządziło silne pragnienie utrzymywania wszystkiego pod kontrolą, tak, aby nigdy nie przekształcić się w rozczarowanie, którym był dla niego jest własny tata. Andrew obiecał sobie, że zrobi absolutnie wszystko, aby stać się przeciwieństwem swojego ojca. I prawie mu się to udało.

Bo potem Andrew Braford uderzył swojego syna.

Nigdy więcej się to nie powtórzyło. Andrew przeproszał za to Chase'a wielokrotnie, ale w końcu przestał. I Chase myślał, że przestanie go to boleć, ale nie przestało. Mimo że ojciec już nigdy więcej nie podniósł na niego ręki, Chase nauczył się patrzeć na niego ze strachem, w ciągłym oczekiwaniu na to, co niespodziewane. Wiedział, że skoro wydarzyło się to raz, mogło wydarzyć się i kolejny, dlatego pielęgnował w sobie cierpliwość i gotowość na ból. Nie zmieniło się to nawet teraz, mimo że Chase był już prawie dorosły.

Jego ojciec nie pił dużo. Ukrócił swoje spotkania z kolegami, po których zawsze wracał do domu pijany, nawet gdy żyła jeszcze mama, poświęcił się wykonywanej pracy, brał jak najwięcej nadgodzin, ucichł, schudł, posmutniał. Paradoksalnie, jego żaloba dodawała Chase'owi otuchy – dzięki niej nie czuł się tak osamotniony. Mimo że kiedyś byli sobie bliscy, śmierć mamy sprawiła, że stali się dla siebie obcymi ludźmi. Czasami myślał, że może tylko ona ich ze sobą łączyła – może poza nią i jej miłością nie mieli ze sobą nic wspólnego, nic, co mogliby sobie nawzajem zaoferować. Ale to właśnie w takich chwilach Chase zauważał, jacy są do siebie podobni – jacy oboje są puści, wydrążeni od środka jak owoce.

Myślał o tym, gdy siedział na malutkim balkonie przy swoim pokoju. Ukrył się tam, mając nadzieję, że ojciec zaśnie od razu po powrocie do domu. Nienawidził, gdy pił – zawsze chciał wtedy przeproszać i się godzić, chciał rozmawiać o mamie i o nich – o tacie i o synu, a Chase nie miał siły tego słuchać. Teraz, próbując uciszyć własne zmęczenie, oparł głowę o ścianę za sobą. Zapalony papieros tlił się pomiędzy jego palcami, gdy patrzył w czarne niebo. Tej nocy nie rozświeślały go żadne gwiazdy – Chase widział jedynie księżyc i tak na niego patrząc, próbował dostrzec na nim jakieś życie, jakiś ruch, jakąś obietnicę tego, że coś jeszcze ma sens, bo przekracza jego zdolność poznania. Jego mama zawsze powtarzała, że jeśli problemy staną się dla niego zbyt

ciężkie i nie będzie miał już siły, aby szukać w nich słońca, powinien popatrzeć na księżyc i pomyśleć o tym, że nawet na najciemniejszym płótnie odnajdzie się jasne pęknięcia. Wtedy niewiele z tego zrozumiał, ale wyjątkowo zapadało mu to w pamięć. Zamknął oczy, rozkoszując się lekko piekącym od palenia gardłem. Nienawidził myśleć o swojej mamie, bo to sprawiało, że myślał o tym, co stracił, i o tym, czego już nigdy nie odzyska.

W końcu postanowił wrócić do środka. Zgasił papierosa na swoim nadgarstku. Zasnął na łóżku pół godziny później. Światło księżyca oświetlało jego poduszkę.

*

Nim się obejrzał, już był czwartek. I już mieli dużo nauki. Obiecał sobie, że w tym roku będzie starał się jak nigdy przedtem – chciał wyprowadzić się z Lambertville, a to oznaczało, że musi dostać się na jakieś studia. Miał nadzieję, że cały zapal do nauki nie zniknie w ciągu kilku tygodni. Jak na razie bardzo się pilnował. To dlatego znalazł się wieczorem w miejscowej bibliotece. Potrzebował miejsca na skupienie się – a nie przywykł do sprzyjającej temu atmosfery w domu, dlatego wziął ze sobą laptopa, zeszyt i usiadł przy jednym z podłużnych stołów. Musiał napisać rozprawkę na zajęcia z literatury na trzy tysiące słów i, jak na razie, nie był w stanie myśleć o niczym innym jak tylko o tym, że wolałby wrócić do domu.

Na dodatek ktoś od paru minut stukał w stół.

Chase podniósł wzrok. Po drugiej stronie, dwa miejsca w prawo, siedziała dziewczyna w słuchawkach na uszach, pochylona nad grubą książką. Miała przed sobą rozłożony notes, a w prawej ręce trzymała niebieski długopis, którym uporczywie uderzała o blat. Chase, zniecierpliwiony, wziął głęboki wdech, zanim się odezwał.

– Hej, możesz przestać?

Nawet na niego nie spojrzała.

– Hej? Czy możesz... – zaczął, ale urwał. I tak go nie słyszała. Pochylił się do przodu i postukał w jej notatnik. Gdy się do niego odwróciła, przez chwilę jej wzrok błędził dookoła Chase'a, aż wreszcie spoczął na jego twarzy. Szybko wyjęła jedną słuchawkę z ucha. – Czy możesz przestać?

Pokazał palcem na długopis w jej dłoni, a ona przez chwilę tępo się w niego wpatrywała, zanim położyła go na stole. Potoczył się w bok, zatrzymany parę centymetrów dalej przez grzbiet jej książki.

– Przepraszam – spieszyła się. – Niechcący...

– Nieważne – przerwał jej. Zanim wrócił do swojego wypracowania, zobaczył, jak wzrok dziewczyny mija go i zatrzymuje się na czymś za nim.

Chase mimowolnie obejrzał się za siebie. Przy biurku bibliotekarki zobaczył Joshua Grinsona, który akurat odwrócił się i ruszył w stronę ich stołu. Spojrzał z powrotem na dziewczynę siedzącą naprzeciwko niego i zobaczył, jak już otwiera usta, aby coś powiedzieć, gdy Josh akurat minął ją i poszedł dalej. Przez chwilę siedziała skamieniała i w ogóle się nie ruszała, jakby nie mogła uwierzyć w to, że przeszedł obok niej bez słowa. Potem opuściła głowę, a z jej ust uciekło coś, co brzmiało jak pełne rozczarowania westchnienie. Wzięła do rąk leżący obok telefon, ale po chwili go odłożyła. Widocznie nie wiedziała, co ze sobą zrobić. Chase wyprostował się, chcąc sprawdzić, gdzie podział się Josh, ale ten już zniknął za regałami.

Ponownie na nią spojrzał. Miała blond włosy związane w koka i zaróżowione policzki. Ubrana była w granatową, naciąganą przez głowę bluzę z kapturem. Wydawała się znajoma, ale zupełnie nie wiedział, skąd ją kojarzy. A gdy już zaczął o tym myśleć, nie mógł przestać. Dziewczyna wyczuła jego wzrok, a on szybko odwrócił się w stronę laptopa, kiedy na niego spojrzała. Gdy zaczęła pakować swoje rzeczy do torby, znowu na

nią zerknął. Czuł się głupio, tak się na nią gapiąc, ale, cholera jasna, znał ją. Chodzą razem do szkoły? Tak. Na pewno.

Wstała, zasunęła za sobą krzesło i ruszyła w stronę drzwi.

Zobaczył, że zostawiła na stole długopis. Niewiele myśląc, wziął go i się za nią odwrócił.

– Hej! – zawołał akurat wtedy, gdy miała popchnąć drzwi. Spojrzała na niego. – Twój długopis.

I wyciągnął dłoń ze zgubą w jej stronę.

Szybko zbliżyła się i wzięła od niego pisak. Chase zdążył zauważyć, że ma niebieskie oczy.

– Dzięki – mruknęła i już jej nie było.

Chwilę wpatrywał się w miejsce, w którym zniknęła. A potem coś zaskoczyło w jego umyśle. Faktycznie chodzili razem do szkoły – była przyjaciółką Alison Selliman. Do tego pamiętał ją z literatury, matematyki i... czegoś jeszcze, chyba francuskiego. Poczuł się okropnie z faktem, że nie poznał jej od razu, mimo że uczęszczają na wspólne zajęcia. Nawet nie pamięta jej imienia – pamięta ją jako koleżankę Alison. Czy to właśnie tym są dla niego ludzie – jedynie ludźmi, z którymi przebywają? Bo jeśli ta dziewczyna jest drugą Alison Selliman, Chase pomyślał, że na pewno znalazłby jej imię. Było jednak inaczej. Nie był tylko pewien, czy świadczyło to gorzej o nim, czy o niej.

*

Wrócił z biblioteki po dwudziestej. Dom stał pusty – Andrew widocznie musiał wyjść do pracy. Chase wszedł do kuchni, odgrzał sobie w piekarniku mrożoną zapiekankę i zjadł ją w ciszy. Potem umył się, przebrał w dres i położył do łóżka. Akurat, gdy miał zamiar włączyć jakiś film, rozdzwonił się jego telefon. Na wyświetlaczu pojawiło się imię: „Tessa”, a on jęknął, wiedząc, że musi odebrać. Dlatego podniósł się na łokciach i przyłożył komórkę do ucha, zamykając oczy.

– Cześć, Tess.

– Chase! Cześć, kochanie. Jak żyjesz?

Tessa Braford była przeciwieństwem swojego brata. Wiecznie roześmiana i pogodna, z wielką łatwością zjednywała sobie wszystkich ludzi. Zawsze wiedziała, co powiedzieć i jak się zachować, a tym przypominała Chase'owi ojca. Miała dwadzieścia jeden lat i dwa lata temu wyprowadziła się z domu na studia. Często dzwoniła do brata, głównie po to, by sprawdzić, czy wszystko u niego w porządku (choć Chase nigdy nie dałby jej znać ani werbalnie, ani niewerbalnie, że w porządku nie było) – uważała, że to jej obowiązek. Ale Chase za to sądził, że po prostu uwielbia się nad nim wywyższać, jako starsza siostra.

– Dzwoniłaś wczoraj – powiedział pół żartem, pół serio.

– Chase, no weź! Mógłbyś udawać, że się cieszysz. Przecież wiele rzeczy mogło zdarzyć się przez ten dzień, racja? Czego ciekawego nauczyłeś się dzisiaj w szkole?

Chase stłumił myśl kotłującą się w jego głowie: *Proszę cię, przestań tak mówić, nie jesteś moją mamą, nie jesteś moją mamą, nie jesteś nią.*

Westchnął.

– No tak. Ale nic specjalnego się nie zdarzyło. Dostałem pałę z matmy.

– Faktycznie nic specjalnego – odpowiedziała z wyraźnym znudzeniem, a Chase się roześmiał.

– Tak. A co u ciebie? Czemu masz taki dobry humor?

– Cóż – przeciągnęła. – Zawsze mam dobry humor.

– Racja.

Chase wyczuł, że chce, aby zaczął się o to dopytywać. Specjalnie, aby się z nią podrażnić, cierpliwie czekał, aż to ona odezwie się jako pierwsza.

– Dobra, Chase. Jest jeszcze jeden powód.

Siłą powstrzymał śmiech.

– Dawaj.

– Więc... – zaczęła niepewnie. – Pamiętasz, jak opowiadałam ci o Fredzie?

– Fredzie, twoim koledze ze studiów?

– Tak. Zaczęliśmy się spotykać.

– O matko. A co mi do tego? – zażartował, ale w rzeczywistości usiadł na łóżku. Poczul niewyjaśniony niepokój w dole żołądka.

– Rozłączam się – odpowiedziała. – Jesteś niemiły.

– Przepraszam! Przepraszam. Opowiadaj.

Chwilę milczała. Chase już szykował następne przeprosiny, ale nie okazały się konieczne.

– Jest cudowny. Mądry i wrażliwy. Mamy razem zajęcia. I, wiesz... Rozumiemy się. Naprawdę mi się podoba. I chciała-bym go wam przedstawić. Tata zaprosił nas na kolację, na tę sobotę. Wiedziałeś?

Jasne, że nie wiedział.

– Tak – skłamał, nie chcąc jej martwić tym, że prawie w ogóle nie rozmawia z ojcem.

– Naprawdę? Świetnie! – wyraźnie się ucieszyła. – Jestem pewna, że się polubicie.

– Ja też – przytaknął, głównie po to, aby zetrzeć swoje wcześniejsze winy. Tak naprawdę wątpił, że się polubią, ale postanowił zostawić to dla siebie.

– Kocham cię, Chase. Jesteś moim ulubionym bratem.

– Jestem twoich jedynym bratem. Trzymaj się, Tess. Do zobaczenia.

Zaśmiała się i pierwsza się rozłączyła.

Całkowicie stracił ochotę na oglądanie filmu. Myśl o Tessie w związku przypomniała mu o Emily i o tym, że nie rozmawiali od ich ostatniego spotkania. Pozwolił rozkwitnąć narastającemu w nim poczuciu beznadziei i bezbronności – strachu przed tym, że wszyscy wokół niego ruszają do przodu, a on jako jedyny wciąż stoi w miejscu.

Rano było chłodno, ale koło dziewiątej na jasnym niebie pojawiło się słońce, które w południe wysoko zawisło pośród chmur, jakby ktoś powiesił je tam na niewidzialnym sznurku. Wszyscy mieli ochotę na spędzenie czasu na zewnątrz i to dlatego każdy uczeń – jak i nauczyciel – już od pierwszej lekcji marzył o tym, aby wreszcie zajęcia się skończyły i aby każdy mógł wyjść ze szkoły. Nikt jeszcze nie przyzwyczał się do prac domowych, klasówek i nauki. Nikt nie myślał o egzaminach końcowych. Wszyscy wciąż wspominali letnie wieczory, godziny spędzone na świeżym powietrzu i słodką bez troskę.

Ivy Cooper nie różniła się tak bardzo od swoich rówieśników. Miała jednak inne plany na resztę dnia od większości z nich, tak spragnionych zabawy – chciała wrócić do domu, zamknąć się w swoim pokoju i nałożyć na głowę słuchawki. Potem leżałaby w łóżku lub siedziałaby przy biurku, słuchałaby muzyki i odrabiała lekcje, a słońce, które teraz tak wesoło jaśniało nad ich głowami, zaczęłoby chylić się ku zachodowi, będąc dowodem na to, że każda piękna rzecz musi się kiedyś skończyć.

Jednak teraz miała jeszcze dwie godziny zajęć – geografii i literaturę. O ile nie znosiła tego drugiego przedmiotu, pierwszy był dla niej całkiem znośny. Nigdy nie potrafiła docenić sztuki pisanej – nie wciągały jej wymyślone historie, ich zawilgości ją nudziły, szybko się przy nich rozpraszała. Od dziecka każdy nauczyciel powtarzał jej, że ma umysł ścisły, przeznaczony do innych dziedzin nauki – a to zapewnienie tak zapadło jej w pamięć, że już nie była w stanie go z niej wyrzucić i chociaż spróbować przekonać się do czegoś innego.

Siedziała z policzkiem opartym na wierzchu prawej dłoni. Starła się skupić na tym, co mówi nauczycielka, ale wzrok cały czas uciekał jej na boki. To przylapywała się na patrzeniu na Simona Atwooda, bazgrzącego coś w zeszytach, to widziała Josha Grinsona, tępo wpatrzonego w tablicę interaktywną. Jak łatwo można było zauważyć, większość nie była zbyt ciekawiona geografiami, a Ivy nawet nie wiedziała, jaki jest temat tej lekcji, więc kolejny raz podziękowała w myślach za swoją dobrą pamięć, która umożliwi jej szybkie przyswojenie tego materiału w domu, w ciszy i spokoju.

W końcu także i ona wyszła ze szkoły. Zatrzymała się na dole schodów i zaczęła szukać w torbie paczki fajek, ale zanim wyjęła ją na sam wierzch, tak, aby później było jej wygodniej ją odnaleźć, jej uwagę zwróciły jakieś podniesione głosy. Spojrzała w stronę, z której dobiegały – parę metrów dalej stały dwie osoby odwrócone do niej bokiem. Chłopak był wysoki i miał ciemne włosy, a dziewczyna była przynajmniej o głowę od niego niższa. Widocznie się kłócili – on przeczesiał włosy dłonią w geście zirytowania, przynajmniej tak to Ivy odczytała, a dziewczyna zaplotła ręce na piersi. Nagle Ivy ich rozpoznała – także chodzili do czwartej klasy, miała z nimi wspólne zajęcia. Byli parą, a przynajmniej Ivy wydawało się, że widywała ich trzymających się za ręce. Dziewczyna miała na imię Rachel i ostatnio przebarbiowała swoje blond włosy

na ciemny odcień brązu. Ivy nie pamiętała natomiast, jak nazywa się jej chłopak.

W końcu, trochę speszona, wycofała się i poszła w stronę lasu. Kamyki i grudki ziemi wymieniały się miejscami pod jej butami, a gdy doszła już na miejsce, poczuła się trochę rozczarowana, widząc na Dolach Judie Arnett w towarzystwie Chase'a Braforda. Judie, dostrzegając Ivy, kiwnęła w jej stronę głową z miłym uśmiechem na ustach, a Ivy odpowiedziała tym samym, po czym usiadła jak najdalej od nich i zapaliła papierosa. Co prawda lubiła Judie, ale nie była zbyt przekonana do Chase'a – zresztą wiedziała, że zaraz pojawi się przy nich Simon Atwood, a w jego towarzystwie czułaby się jak piąte koło u wozu.

Papieros ją uspokajał. Słońce miło grzało w kark. Oparła łokcie o uda i obserwowała grę światła na ubitej krokami sepek uczniów ziemi. Mimowolnie obserwowała Judie i Chase'a, którzy cicho rozmawiali, pochyleni w swoje strony. W pewnym momencie oboje spojrzeli w kierunku ścieżki. Ivy była pewna, że zaraz zza drzew wyłoni się Simon Atwood, dlatego zdziwiła się, gdy zobaczyła, że jest to chłopak, którego jeszcze chwilę temu widziała przed szkołą. Od razu podszedł do Chase'a i Judie, gdy tylko ich zauważył. Rzucił plecak na ziemię i założył ręce na głowę. Ukucnął przed nimi, mimo że obok było miejsce siedzące. Zaczęli o czymś żywo rozmawiać, a Ivy odwróciła wzrok, czując, że jest to zbyt osobista chwila, aby tak po prostu ich podglądać.

W ciszy skończyła swojego papierosa i w takiej samej ciszy odeszła. Usłyszała tylko Judie mówiącą „tak mi przykro, Yates”, zanim zniknęła w lesie.

*

Wtorek zaczął się okropnie. Spóźniła się na pierwsze zajęcia, przez co za karę musiała zostać po lekcjach, a później

było już tylko gorzej – na zajęciach z literatury nauczycielka wzięła ją do odpowiedzi i powiedziała, że w tym roku naprawdę powinna przyłożyć się do nauki. Oczywiście klasa się roześmiała, Ivy także, ale w środku kipiała ze złości, z tego obezwładniającego uczucia porażki i braku perspektyw. Całą przerwę spędziła w damskiej łazience.

Szlaban zaczął się od razu po ostatniej lekcji. W klasie było nie więcej niż pięć osób. Usiadła w rzędzie od ściany, ławkę przed kimś z kapturem na głowie. Chwilę później siedzący za biurkiem nauczyciel spojrzał na nich z wyrzutem, a Ivy rozpoznała w nim pana Todda, który uczy historii i jest postrzegany jako jedna z najbardziej ekstrawaganckich osób w całej radzie pedagogicznej. W każdym razie, był na pewno lepszy od Starej Reywood.

– No – powiedział. – Na początku dzięki wielkie, że musicie tu z wami siedzieć. Moja żona zrobiła dziś pyszny obiad. W każdym razie... proszę, bądźcie cicho i, nie wiem, zróbcie coś pożytecznego... jeżeli w ogóle potraficie.

Dziewczyna w środkowym rzędzie parsknęła śmiechem, a Ivy pozwoliła sobie tylko na mały uśmiech. Wyjęła z torby notatnik i długopis, pamiętając o nieszczęsnym, zadanym na zajęcia z literatury wypracowaniu o złych uczynkach i ich wpływie na dalsze losy człowieka. Z ciężkim sercem zdecydowała się na rozpoczęcie pisania, choć, szczerze mówiąc, nie obchodziły jej ani złe uczynki, ani tym bardziej ich wpływ na cokolwiek.

I już miała nabazgrać pierwsze słowo, gdy nagle ktoś szturchnął ją w plecy. Postanowiła to zignorować, ale powtórzyło się to drugi i trzeci raz, a za czwartym już nie wytrzymała i zirytowana obejrzała się do tyłu.

Za ławką siedział czarnowłosy chłopak o brązowych oczach i szczupłej twarzy, na której widniał obecnie zaczepny uśmiech, dodający mu uroku. Był wyjątkowo przystojny, właściwie tak przystojny, jak przystojni bywają jedynie bohaterowie książek

(ponieważ nie istnieją) i Ivy potrzebowała chwili, aby zorientować się, że jest to ten sam chłopak spod szkoły, a potem z Dolów, który rozmawiał z Judie i Chase'em.

– Cześć. Masz może papierosa na zbyciu? – spytał. Miał przyjemny głos, a gdy mówił, przeciągał samogłoski.

Wpatrywała się w niego parę sekund, jakby do końca nie rozumiejąc, o co tak właściwie ją pyta. W końcu udało jej się zebrać myśli.

– Na zbyciu nigdy – odparła.

Widocznie jej odpowiedź go rozbawiła, bo kącik jego ust delikatnie się unióś, a Ivy miała wrażenie, że właśnie dzieje się coś ważnego.

– Cześć – powtórzył. – Masz może papierosa?

Całą siłą woli powstrzymała się od uśmiechu.

– Mam.

– Czy może mogłabyś mi jednego pożyczyć?

– Przyczynię się do twojego raka płuc. No nie wiem.

Wzruszył beztrosko ramionami i oparł się łokciami o ławkę, przez co Ivy trochę odsunęła się do tyłu. Chyba tego nie zauważył.

– Inaczej umrę z rozpaczy. Wybierz mniejsze zło.

Przez chwilę, bardzo krótką, wpatrywała się w jego twarz, po czym założyła włosy za prawe ucho i podniosła torbę na kolana. Zaczęła w niej grzebać – papierosy odnalazła na samym dnie i podała mu je pod ławkę. Wziął jednego i oddał jej paczkę z uśmiechem.

– Jestem ci bardzo wdzięczny. Bardzo – podkreślił. Papierosa włożył ostrożnie do kieszeni kurtki. – Tak w ogóle jestem Yates.

– Ivy – mruknęła niechętnie, wcale nie chcąc go oficjalnie poznawać. Mimo to uściśnęła jego dłoń, gdy wyciągnął ją w jej kierunku.

– To jak? Za co siedzisz?

– Za spóźnienie. A ty?

– Za palenie.

Teraz już nie mogła się powstrzymać od parsknięcia śmiechem.

– Poważnie? – spytała.

– Nie. Po prostu babka od chemii nie rozumie, że kogoś wcale nie obchodzą te głupie równania. Próbowałem jej to wyjaśnić, ale się nie udało.

– Czy możecie usiedzieć w ciszy chociaż chwilę? – spytał głośno pan Todd, a Ivy zagryzła wargę, aby znowu nie popełnić takiego głupstwa jak uśmiechanie się lub śmianie, i posłusznie zamilkła, odwracając się z powrotem do swojej ławki.

Gdy lekcja się skończyła, Ivy była akurat w połowie pisania wypracowania. Niezgrabnie wrzuciła rzeczy leżące na ławce do torby i wstała, ucieszona, że wreszcie będzie mogła pójść do domu.

– Ivy? – usłyszała z boku i, chcąc nie chcąc, odwróciła się w stronę Yatesa opartego o swoją ławkę. Przez ramię miał przewieszony plecak. – To jak? Idziemy na Doły?

– Co? Ja... Nie miałam zamiaru tam iść.

Roześmiał się.

– Przestań. Widziałem cię tam wiele razy. Wiem, że twój nałóg cię wzywa – powiedział z uśmiechem, w którym mieszał się biały z czarnym, dobro ze złem.

Parę godzin później Ivy Cooper wspominała tę chwilę z ciężkim sercem. To, jak poznała Yatesa i zobaczyła z bliska jego oczy, i przez chwilę miała wrażenie, że właśnie siedzi twarzą w twarz ze swoim przyjacielem z dzieciństwa, o którego istnieniu zdarzało jej się zapominać. To, jak wziął za oczywistość ich wspólną drogę na Doły, to, jak rozmawiali o zupełnie trywialnych sprawach, tak jak tylko dobrzy znajomi potrafią. A jednak najbardziej wspominała finał ich spotkania – to, jak dotarli na miejsce i zastali tam jego dziewczynę, Rachel. Ku jej zdziwieniu Yates nie zapalił papierosa, którym go wcześniej poczęstowała. Ivy w ciszy wypaliła

swojego, pożegnała się i jak najszybciej stamtąd zniknęła. Bo jak dotąd życie dało jej wiele lekcji, ale najważniejsza z nich brzmiała – jeśli robi się niebezpiecznie, uciekaj.

I to właśnie było coś, co wychodziło jej niemal perfekcyjnie.

Był czwartek, kiedy mama Alison postanowiła, że dzisiejszego dnia pojadą do jej rodziców, mieszkających dobre cztery godziny drogi od Lambertville. Alison nie była tym zbyt zdziwiona – przyzwyczaiła się już do dziwnych pomysłów swojej mamy, do jej niewyjaśnionych, lekkomyślnie podejmowanych decyzji i braku cierpliwości. Czasami przyłapywała się na tym, że jej nie ufa – jej podkreślonym czarną kredką rozbieganym oczom, idealnie wymalowanym ustom, które układały się w czarujący uśmiech, za każdym razem, gdy próbowała kogoś do czegoś przekonać. Jednak najbardziej Alison nie ufała jej słowom, tym szybkim, twardo wypowiedzanym, niby blahym, ale silnym, z ogromnym ładunkiem emocjonalnym.

Ale mimo to Alison Selliman kochała swoją mamę. Starła się ją kochać.

Gdy Alison otworzyła oczy, jej matka była już w pełni gotowa. Miała na sobie elegancki granatowy kombinezon, a na stopach czarne wysokie szpilki z czubkiem w szpic. Alison poczuła zapach jej słodkich perfum, od których zakręciło jej się w głowie.

– Wstawaj – powiedziała kobieta, klepiąc córkę po ramieniu. – Wstawaj i się ubieraj. Jedziemy do dziadków. Śniadanie zjesz po drodze. Wstawaj, nie mamy czasu!

Brzmiała na podekscytowaną. Alison, już przyzwyczajona do często towarzyszącemu jej stanu rozgorączkowania, posłusznie wstała z łóżka. Mama od razu wyszła z jej sypialni, wesoło podśpiewując pod głosem nowy hit leący w radiu. Alison instynktownie wyczuła jej humor, ten specyficzny nastrój, na który składała się głównie perfekcyjnie grana radość, mająca udowodniać innym, że życie Gabrielli Selliman wcale nie rozpada się na małe kawałeczki, które tak starannie skleja i układa, aby tylko nie dopuścić do siebie myśli o niemożności ich naprawienia.

Alison wyjrzała przez okno. Świeciło słońce, dlatego postanowiła założyć tę niebieską sukienkę, którą dostała od Josha Grinsona na swoje siedemnaste urodziny, a którą miała na sobie tylko raz. Było to na ślubie jej ukochanej siostry ciotecznej, na który, swoją drogą, poszła z Joshem jako osobą towarzyszącą. Nigdy nie powiedziała o tym Chloe i nigdy też nie miała takiego zamiaru.

Pomalowała się, rozczesała włosy, pozostawiła je rozpuszczone i wzięła z biurka torbę, z której wcześniej wzięła wszystkie zeszyty i podręczniki. W ciszy zeszła na dół, gdzie nie zastała już swojej mamy. Zanim wyszła z domu, zamknęła drzwi na klucz.

Przywitało ją rześkie powietrze. Gabriella siedziała w samochodzie i nucila refren piosenki, która akurat leciała w radiu. Alison szybko zajęła miejsce pasażera.

– Niedługo będziemy na miejscu! – Gabriella zawołała podekscytowana, zakładając na nos okulary przeciwsłoneczne.

– Za jakieś cztery godziny. Faktycznie niedługo. A po co tak w ogóle tam jedziemy?

– Jak to po co? Odwiedzić dziadków.

– Aha.

Alison miała ochotę zapytać, gdzie podział się tata, choć tak naprawdę dobrze wiedziała, gdzie się podział, a raczej gdzie na pewno go nie było – w ich domu. Postanowiła jednak nie zaczynać tego tematu. Zamiast tego wyjęła telefon i szybko napisała do Chloe SMS-a, że nie będzie jej dzisiaj w szkole. Dostała odpowiedź natychmiast, jakby jej przyjaciółka tylko czekała, aby ją wysłać.

Alison: nie będzie mnie dzisiaj w szkole

Chloe: co? czemu?

Alison: zgaduj

Chloe: nie wiem

Chloe: odkryłaś, że jednak edukacja nie jest drogą, którą chciałybyś iść?

Alison: ;/ to już dawno

Alison: razem z mamą jedziemy do dziadków

Chloe wiedziała, jaka bywała Gabriella, i choć cały czas zapewniała Alison, że uwielbia jej mamę, to ona sama wiedziała, że jej najlepsza przyjaciółka trochę obawia się jej nieprzewidywalności. Sama Gabriella za to kochała Chloe – uważała ją za piękną, młodą kobietę, która mogłaby osiągnąć w życiu naprawdę wiele, gdyby była trochę bardziej pewna siebie. Alison wiedziała także, że gdyby tylko mogła, Gabriella chciałaby mieć taką córkę jak Chloe – grzeczną, bezproblemową, ambitną.

Alison Selliman nie była ambitna. Wiedziała, że niczego w życiu nie osiągnie. Była tego pewna jak niczego i nikogo innego. Nie była także ani grzeczna, ani bezproblemowa. Była więc całkowitym przeciwieństwem Chloe i zazdrościła jej tych wszystkich cudownych cech, za pomocą których rozkochiwała w sobie dorosłych.

Gdy Alison myślała o Chloe Fields, często rodziło się w niej nie tylko uczucie pychy, ale i żalosnej zazdrości. Nigdy tego nie pokazywała, ale wcale nie była pewna siebie w pobliżu swojej przyjaciółki. Wiedziała, że jest od niej o wiele ładniejsza, ale wiedziała także, że Chloe jest od niej o wiele lepszym człowiekiem – cieplejszym, bardziej uprzejmym, kimś, komu ludzie z chęcią powierzają swoje sekrety, bo uważają ją za kogoś godnego zaufania. Alison kochała Chloe – znały się od dziecka, były najlepszymi przyjaciółkami. Jednak uczucie żalu kielkowało w niej od dawna, a była świadoma, że obie je wyczuwają, niczym chłodną barierę pomiędzy nimi.

Mama Alison, jakby dokładnie wiedziała, o kim właśnie myśli jej córka, zapytała:

- Co u Chloe?
- Wszystko w porządku.
- Znalazła sobie kogoś?

Przed oczami Alison od razu pojawił się Josh Grinson, a to wywołało w niej wyrzuty sumienia.

- Nie.
- Nie mam pojęcia czemu. Ale na pewno ktoś jej się podoba?

Spojrzała na swoją mamę i zmarszczyła brwi.

- Czemu w ogóle pytasz?
- Chryste, Alison, nie tym tonem. Nie mogę się już odezwać?

Alison zagryzła wargę, aby nie odpowiedzieć czegoś nie milego, i odwróciła się w stronę okna. Akurat wjechały na drogę biegnącą środkiem lasu, dlatego cały czas mijaly wysokie, rozłożyste drzewa, rozkładające się w kierunku nieba niczym ludzkie ramiona, i po chwili Alison musiała utkwąć wzrok w innym miejscu, bo zakręciło jej się w głowie.

Przez resztę trasy słuchały muzyki i rozmawiały o błahych sprawach. Alison wciąż próbowała wyczuć w głosie mamy jakąś fałszywą nutę, ale ta była już tak wprawiona w udawaniu,

że nawet jej własna córka nie potrafiła określić, kiedy to robi. Chciała wyjąć telefon i zadzwonić do taty, spytać się, o co znowu poszło i czy w ogóle ma zamiar wrócić dzisiaj do domu. Jednak tego nie zrobiła – wmawiała sobie, że to ze względu na obecność mamy obok, ale powód był inny, bardziej infantylny i głupi – po prostu bała się tego, co mogła od niego usłyszeć. Postanowiła udawać, że wszystko jest w porządku i sama zaczęła grać w kolejnym przedstawieniu – po kilkudziesięciu minutach już nawet zapomniała, że nie powinna tego robić, że powinna poprosić mamę o zatrzymanie samochodu i w końcu poważnie z nią porozmawiać. Coś zrobić. Postarać się cokolwiek naprawić. Alison nie zrobiła tego wcześniej ani razu i wtedy także się na to nie zdobyła. A gdy wjechały do miasta i stanęły przed domem jej dziadków, wiedziała, że sprawa została przesądzona.

Dziadkowie przywitali je w progu i od razu wpuścili do środka, gdzie zostały obdarowane masą całusów, jakby nie widzieli się co najmniej rok, a nie dwa miesiące. Zaproszono je do salonu, a babcia Alison natychmiast ruszyła do kuchni, skąd wyszła chwilę później z tacą zastawioną parującymi kubkami herbaty i talerzem pełnym czekoladowych ciasteczek.

– Nie wspominałaś, że przyjdziecie! – zawołała babcia, gdy już wszyscy ucichli.

– Chciałam zrobić wam niespodziankę – powiedziała Gabriella, mrugając przy tym do swojej mamy. – Chyba się udało?

– Oczywiście! Tak się za wami stęskniliśmy, prawda James? Nasze dziewczynki.

Dziadek jedynie kiwnął głową, ale Alison wyczytała z jego oczu, że bardzo się cieszy.

– A gdzie Bill? – dopytywała babcia.

– Nie mógł zwolnić się z pracy – usprawiedliwiła go szybko Gabriella, bez zająknięcia i jakiegokolwiek oznaki możliwego kłamstwa. Alison jednak wiedziała, że jej tata zawsze mógł wyjść wcześniej, jeśli tego chciał.

Okazywało się, że Alison wiedziała bardzo dużo rzeczy i nic z nimi nie robiła – może gdyby chociażby spróbowała, wszystko wyglądałoby wtedy inaczej. Jednak nie spróbowała.

I nie miała zamiaru.

*

Po kolacji Alison zaproponowała, że w ramach pomocy pozmywa naczynia. Wykorzystała to, aby choć chwilę spędzić w samotności – miała dość swojej mamy, opowiadającej kłamstwa na temat ich życia. Miała także dość obserwowania swoich dziadków, którzy tak ślepo wierzyli w jej zapewnienia. Oczywiście, nie miała do nich o to pretensji – przecież każdy rodzic chce, aby jego dziecko było szczęśliwe i aby odnosiło sukcesy. Alison żałowała, że jej mama nie potrafi być szczerą i nie potrafi dopuścić do siebie myśli, że poniosła porażkę. Najbardziej jednak żałowała, że sama nauczyła się od niej tego fałszu i nigdy nie była w stanie przyznać się do błędu.

Spojrzała na swoje dłonie, czerwone od gorącej wody. Wytarła je w papierowy ręcznik i sięgnęła po telefon, który odłożyła wcześniej na blat obok. Dopiero wtedy zauważyła, że dostała dwie wiadomości. Jedną od Chloe i jedną od Josha.

Josh: gdzie była moja ulubiona dziewczyna?

Chloe: i jak żyjesz?

Alison wiedziała, że jest złym człowiekiem, w momencie, w którym wybrała osobę, której jako pierwszej odpisze.

Alison: u ulubionych dziadków ;)

Odpowiedź dostała niemal natychmiast.

Josh: a kiedy od nich wróci?

Alison: niedługo, pewnie jutro

Josh: to długo :(

Alison: co w szkole?

Josh: nic specjalnego, stara reywood chciała zaciągnąć mnie do łóżka

Alison: bardzo śmieszne

Alison: przykro mi, ale cała szkoła wie, że stara reywood woli chase'a

Josh: braforda?

Alison: tak

Josh: wyjaśnij mi, o co chodzi z tym typem?

Alison: jesteś chłopakiem i dlatego nigdy nie zrozumiesz, jaki jest przystojny

Alison: żałuj

Nie odpisywał przez dłuższą chwilę, a Alison zaczęła się martwić, że czymś go uraziła. Wiedziała, że Josh nie lubi Chase'a, podobnie jak Chase nie lubi Josha. Nie było to jednak tak proste. Gdy Alison chciała z nim o tym porozmawiać, zawsze jakoś ją zbywał. A robił to tak umiejętnie, że w końcu przestała pytać.

Przez chwilę walczyła samą z sobą, aż wreszcie wyszła z konwersacji z Joshem i odpisała Chloe.

Alison: jest dobrze, zjadłam placki z jabłkiem mojej babci i świat znowu jest dobrym miejscem

Chloe: domyślałam się, uwielbiam twoją babcię i jej placki z jabłkiem

Alison :)

Alison: a co u ciebie?

Chloe: cóż, oprócz tego, że josh dzisiaj na mnie wpadł i popchnął mnie na chase'a braforda, to absolutnie nic

Chloe: W OGÓLE

Chloe: byłam ostatnio w bibliotece i przy tym samym stoliku siedział ze mną chase

Chloe: nie sądziłam, że można być takim dupkiem, przysięgam

Chloe: dlaczego wszyscy ładni chłopcy są dupkami ;((((Alison

Alison: spodobał ci się?

Chloe: nie

Alison: okej

Chloe: no nie, wiesz przecież

Alison: wiem

Chloe: pewnego dnia josh na mnie spojrzy i zrozumie, że jestem miłością jego życia, zobaczysz

Alison Selliman już kolejny raz tego wieczoru poczuła łzy w oczach.